EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 25 czerwca 1933 R. | NR. 26 (39)

Spółdzielnie pracy

W państwie bezprawia

Signum temporis

Dokumenty o N.D.-cji

Prowokatorzy

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki.

AUTORZY: **Wolski. Michałowski. Baranowska. Czarnowski. Kornacki. Waśniewski. Brzozowski. Krahelska.**

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

TRUST MÓZGÓW

W prasie amerykańskiej ukazuje się coraz częściej nowy termin — „Brains trust", czyli „Trust mózgów". Coraz częściej też ukazują się na łamach prasy nazwiska prof. Moley, prof. Tugwell, prof. Berle, bankiera Warburga i wielkiego „magnata melasy"—Taussiga. Wpływom tych osób tworzących „trust mózgów z Białego Domu", przypisuje prasa tendencje zarządzeń Roosevelta i zdecydowaną linję jego działalności. Opinja Stanów Zjednoczonych zaczyna rozumieć, że w ramach konstytucji dokonał się zawoalony narazie przewrót. Na marginesie rządu, poza Kongresem i Federal Reserve Board działa siła kierownicza, zmierzająca, według jednych, ku faszyzmowi, według niektórych — ku... komunizmowi. Tym potężnym czynnikiem jest ów „trust mózgów". Należą doń ludzie bez doświadczenia politycznego, od dwóch miesięcy wtrąceni w wir wypadków i decyzyj o znaczeniu międzynarodowem.

Czołową postacią „trustu" jest profesor kryminologji w Columbia University — Raymond Moley. Spełnia u boku Roosevelta rolę „doradcy praktycznego", wskazującego najstosowniejszą drogę realizacji pomysłów gospodarczych i politycznych. Oficjalne stanowisko podsekretarza Stanu dla spraw wewnętrznych odgrywa nikłą rolę w jego właściwej działalności, obejmującej szeroką skalę — od spraw podatkowych i wewnętrznych do ważkich kwestyj polityki zagranicznej. Część prasy traktuje go jako właściwego ministra spraw zagranicznych, a oficjalnego ministra tego resortu, Hull'a, za „kukłę". Inni znów żądają oddania teki min. skarbu Woodina w ręce Moley'a. Porzucenie parytetu złota, stosowanie kontrolowanej inflacji, stanowisko Rooselvelta w kwestji długów — zawdzięczają podobno Stany Zj. prof. Moley'owi.

Projekt prawa kontroli przemysłu, jaki Roosevelt przedstawił Kongresowi, pochodzi znów od Rexford Tugwell'a, podsekretarza rolnictwa i profesora ekonomji politycznej w Columbia University. Konserwatyści amerykańscy nazywają go „wściekłym Robespierrem". Drażni ich głównie jego teorja „uspołeczniania wytwórczości". Tugwell był inicjatorem Farm Relief Act, którego zadaniem jest szeroko zakrojona pomoc dla rolnictwa.

Reorganizację kolejnictwa przeprowadza prof. Berle. Obok tych trzech profesorów z Columbia University działają w „truście mózgów" James Warburg, prezydent Banku Manhattan Company i Taussig, król melasy.

Warburg znany jest nietylko na Wall-Street, lecz cieszy się również popularnością w music-hallach, dla których dostarcza teksty dowcipnych piosenek. Przy Rooseveltcie spełnia funkcję doradcy finansowego.

Prasa wymienia jeszcze nazwiska pomniejszych członków „trustu", jak prof. Douglas, Bullitt, Milburn, Wilson.

Kongres, zdradzający już objawy buntu przeciw „samowładczym zapędom" Roosevelta, zwraca się przedewszystkiem przeciw dyktaturze „trustu mózgów"'

ZAGROŻONA SPÓŁDZIELCZOŚĆ

Głośną dyskusję na łamach prasy londyńskiej wywołuje kwestja opodatkowania spółdzielni spożywczych, które są w Anglji bardzo liczne i popularne. Zasadniczo, w myśl ustaw, spółdzielnie mogą utrzymywać stosunki handlowe jedynie ze swoimi członkami. W rzeczywistości zaś kooperatywy sprzedawały również towar klijentom nie-członkom. Przyczyniło się to do znakomitych dochodów i ciągle wzrastającej klijenteli, gdyż spółdzielnie mogły sprzedawać znacznie taniej niż prywatni kupcy, obciążeni opłatami i podatkami. Związki kupieckie zażądały od władz skarbowych opodatkowania spółdzielni.

Podczas ostatniej debaty Izby Gmin — min. Neville Chamberlain zapowiedział wniesienie pod obrady projektu, który w sposób umiarkowany zresztą, obciąży kooperatywy spożywcze. Podatek zainicjowany dotknie jedynie tej części zysków, które płyną ze sprzedaży nie-członkom, zaś dywidendy wypłacone członkom spółdzielni nadal będą wolne od ciężarów fiskalnych. O rozmiarach obrotów kooperatyw świadczy dobitnie preliminowany wpływ skarbowy 1 miljona funtów, mimo opodatkowania jedynie części dochodów spółdzielczych.

Przeciwko projektowi wypowiedziała się Partja Pracy. Jeden z jej mówców przypomniał premjerowi Mac-Donaldowi, że przed trzema laty podczas kampanji przedwyborczej gwarantował spółdzielniom nieskrępowany, swobodny rozwój. Obecny premjer zobowiązał się wówczas przed wyborcami, że raczej porzuci władzę — a nie pozwoli na obarczanie ruchu spółdzielczego, niezbędnego dla biednych warstw ludności, ciężarami skarbowemi.

Podczas ożywionej dyskusji wyłoniły się ciekawe szczegóły działalności spółdzielni. Okazało się, że większość kooperatyw zaangażowana była finansowo w kampanji wyborczej Labour Party, a niektóre utrzymują stałego urzędnika — „doradcę politycznego". Szereg mówców zarzucał labourzystom „destrukcyjny wpływ na ruch spółdzielczy", twierdząc, że udział w pracy politycznej i partyjnej sprzeczny jest w ideą spółdzielczości, jako instytucji wyłącznie gospodarczej.

WŚRÓD OPRAWCÓW

Dziennikarz angielski Geoffery Fraser, oskarżony przez hitlerowców o udzielanie prasie angielskiej fałszywych informacyj, zwolniony niedawno z więzienia berlińskiego, opowiada obecnie na łamach prasy londyńskiej o swoich przeżyciach w więzieniu na Aleksanderplatz:

...„Zaprowadzono mnie do piwnicy, która normalnie pomieścićby mogła dwudziestu więźniów, a w której znajdowało się czterdziestu siedmiu. Ja byłem czterdziestym ósmy. Większość uwięzionych należała do „politycznych". Byli tam starcy i młodzieńcy ze wszystkich warstw społecznych. Odzież podarta, twarze popuchnięte i posiniaczone. Wszyscy padli ofiarą dzikich oprawców.

„Znajdował się tam Polak, którego „zbrodnia" polegała na napisaniu do brata, mieszkającego w Polsce, listu wspominającego o prześladowaniach Żydów w Berlinie. Miał trzy rany na głowie.

„Dolna część twarzy jednego z więźniów była masą żywego mięsa, krwawą miazgą. Młody robotnik miał oderwane ucho. Inny miał zmiażdżone dłonie.

„Lecz widzialne rezultaty kultury „nazi" nie były jeszcze najgorsze. W dziele torturowania hitlerowcy uznali pewne rany za niestosowne dla twarzy lub rąk. Nim przystępowali tedy do „trzeciego stopnia mąk" obnażali ofiary. Widziałem rany tego rodzaju i tak zlokalizowane, że nie można o nich nawet wspomnieć w druku. Wszyscy byli bici żalaznemi prętami lub sękatemi kijami. Jednemu z więźniów wycięto nożem na pośladku dwa znaki swastyki.

„Następnego dnia przeprowadzono mnie do innego więzienia, przeznaczonego widocznie dla „zagranicznej opinji". Otrzymałem duży pokój słoneczny i czystą pościel.

...„Przed wprowadzeniem do sędziego śledczego, spędziłem pół godziny w celi śledczej z młodym więźniem, który opowiedział mi wstrząsającą historję swego towarzysza. Hitlerowcy przypiekali mu ciało i język rozżarzonem żelazem, ale *udało mu się* uniknąć dalszego ciągu tortur, gdyż korzystając z chwilowej nieuwagi straży, wyskoczył z czwartego piętra".

KSENOFILJA I KANIBALIZM

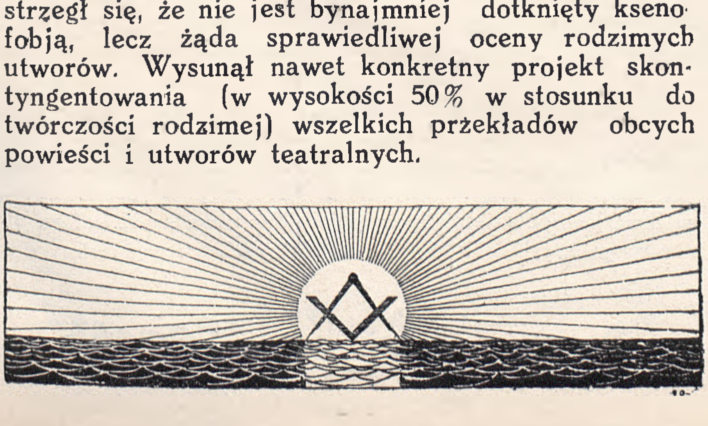
W Littorale odbył się pierwszy kongres narodowy pisarzy włoskich, który zgromadził liczną rzeszę literatów, poetów, dramaturgów i dziennikarzy. Kongres otworzył Marinetti, który w inauguracyjnem przemówieniu oświadczył:

„Włochy dzisiejsze posiadają wszelkie niezbędne dane, aby mieć wielką literaturę. Rasa włoska, która przygotowała i wygrała wojnę, oraz dokonała rewolucji, ma prawo do należnego jej w literaturze światowej miejsca".

Twórczości Włoch zagrażają według Marinettiego dwa wielkie niebezpieczeństwa — „ksenofilja i kanibalizm". Przez ksenofilję rozumie on „bezsensowne i nieuzasadnione uwielbienie dla obcej twórczości, zaślepienie, które nie odróżnia dzieł wartościowych od nic nie znaczących. Jest to główna przeszkoda dla powodzenia i rozwoju talentów włoskich. Ksenofilja zawładnęła nietylko szeroką rzeszą czytelników, lecz również krytyką".

„Drugim biczem twórczości włoskiej jest kanibalizm, pod którym należy rozumieć niczem nieusprawiedliwioną srogość i okrucieństwo krytyki, która stara się przekreślić wszelką wartość utworu dla samej pasji krytykowania. „Kanibalizmu" krytycznego nikt nie uprawia w stosunku do zagranicznych pisarzy.

Marinetti, przewidując zarzut szowinizmu, niepożądanego w dziedzinie twórczości artystycznej, zastrzegł się, że nie jest bynajmniej dotknięty ksenofobją, lecz żąda sprawiedliwej oceny rodzimych utworów. Wysunął nawet konkretny projekt skontyngentowania (w wysokości 50% w stosunku do twórczości rodzimej) wszelkich przekładów obcych powieści i utworów teatralnych.



SPÓŁDZIELNIE PRACY

Istnienie olbrzymiej armji rezerwowej bezrobotnych, gotowych sprzedawać swoją pracę za wszelką cenę, wpływa zniżkowo na zarobki pracowników zatrudnionych, szczególnie — na zarobki pracowników młodych, oraz świeżo angażowanych.

Pogarszają się też bardzo warunki moralne pracy najemnej. W obawie przed utratą pracy, tak groźną w czasach obecnych, w strachu przed narażeniem się swojemu zwierzchnikowi, w pragnieniu zapewnienia sobie jego względów, pracownik najemny zatraca przy pracy resztki ludzkiego poczucia niezależności i godności osobistej, jakie jeszcze dotychczas zachował.

Jeżeli wśród robotników, pracujących masowo i bardziej ze sobą solidarnych, a więc poczuwających się do pewnej zbiorowej siły, służalcze upodlenie wobec zarobkodawców nie występuje zbyt powszechnie, to — niestety — wśród części pracowników umysłowych, mniej ze sobą solidarnych, a przez to bardziej bezsilnych, służalczość objawia się coraz powszechniej, zatruwając atmosferę pracy. Jak dalece demoralizująco wpływać musi ta zatruta atmosfera na wyrobienie charakteru młodego pracownika, jak groźne są potem konsekwencje tej demoralizacji w życiu społecznem i publicznem, — o tem nie mam potrzeby się rozwodzić.

***

Przed młodzieżą, stojącą u progu swego życia pracowniczego, a nawet przed tymi, którzy w szranki tego życia już wstąpili i są dziś albo bezrobotnymi, albo też, zarobkując, nie znajdują w pracy swej zadowolenia moralnego, przed tymi wszystkimi ludźmi pracy musi stawać i nieraz staje pytanie: co i w jaki sposób należy im czynić, ażeby pewniej zdobyć dla siebie pracę w zawodzie najwłaściwszym, oraz w warunkach najznośniejszych pod względem materjalnym.

Kto nie liczy na przypadek lub protekcję, ten w rozważaniach swoich musi dojść do stwierdzenia, że w pojedynkę jest bezsilny i bezradny, że wyjścia należy szukać na drodze akcji zbiorowej.

***

W artykule niniejszym chcę zwrócić uwagę na jeden ze sposobów takiej zbiorowej akcji, która, gdy jest zorganizowana i prowadzona właściwie, ułatwia pracownikom najemnym zdobywanie dla siebie pracy zarobkowej i wykonywanie tej pracy w sposób najbardziej pożyteczny dla nich i dla społeczeństwa z uniknięciem wyzysku, poniżenia i znieprawienia.

Sposobem tym jest spółdzielczość pracy.

Spółdzielniami pracy nazywamy oparte na zasadach spółdzielczych stowarzyszenia pracowników najemnych (fizycznych i umysłowych), zorganizowane według zawodów i podejmujące się wykonywania robót dla osób trzecich siłami swoich członków, we własnej administracji na wspólną odpowiedzialność i za wspólnem akordowem wynagrodzeniem.

Zarobkodowaca finansuje wykonywane przez spółdzielnię roboty. Dostarcza narzędzi i warsztatów pracy. Zdarza się jednak, że spółdzielnie prowadzą własne warsztaty, posługują się własnemi narzędziami, nieraz same kupują surowce, jednak najlepiej jest, gdy czynią to na rachunek zarobkodawców.

Instytucja, czy osoba, dla której spółdzielnia pracuje, nie ma już stosunku służbowego, z poszczegól-

nymi pracownikami — tylko z całą spółdzielnią, która dostaje umówione wynagrodzenie za pracę wszystkich. I już sama spółdzielnia rozdziela wspólny zarobek pomiędzy tych, którzy pracowali. Jest więc spółdzielnia zarobkodawcą dla swoich członków.

Jak z tego widzimy, spółdzielnie pracy są swojego rodzaju przedsiębiorstwami, dostarczającemi zbiorowej, zorganizowanej i rządzącej się samodzielnie pracy. Tylko, że przedsiębiorstwa te nie mają przedsiębiorców, którzyby do prywatnych kieszeni ciągnęli zyski zarówno z pracy swoich najemników, jak i z nadpłat ze strony osób i instytucyj, dla których wykonywane są roboty.

Spółdzielnia pracy zysków takich nie ma. Nie dla zysków ona istnieje, lecz jedynie w tym celu, aby dawać swym członkom uczciwe zatrudnienie w najbardziej sprawiedliwych warunkach.

To też, gdy jakichś robót podejmuje się spółdzielnia pracy, ten zysk, który miałby przedsiębiorca prywatny, gdyby roboty te prowadził, pozostaje w społeczeństwie. Część tego zysku zostaje w spółdzielni, zwiększając zarobki pracowników, oraz idąc na wspólny niepodzielny kapitał społeczny spółdzielni, a nieraz część pozostaje u tej osoby, lub w tej instytucji, dla której spółdzielnia pracowała. Bo spółdzielnia pracy, której nie idzie o zyski, może nieraz podejmować się roboty taniej od prywatnego przedsiębiorcy, który wszak tylko dla zysków interes swój prowadzi.

Dlatego też spółdzielnie pracy, gdy funkcjonują dobrze i sprawnie, przynoszą wielki pożytek, zarówno swoim członkom, których zatrudniają, jak i tym osobom i instytucjom, dla których pracują. Zdobywają one dla siebie wielkie uznanie u instytucyj państwowych, samorządowych i społecznych, mając w tych instytucjach stałych i zbiorowych, pewnych i solidnych odbiorców na swoją pracę, co zapewnia spółdzielniom ciągłość zatrudnienia.

We Włoszech różnorodne spółdzielnie pracy, z których każda z reguły zrzesza pracowników jednego tylko fachu, łączą się ze sobą na wspólnym terenie w tak zwane konsorcja. Konsorcjum takie, prowadzone przez pierwszorzędne siły administracyjne i techniczne, wyszukuje pracę dla stowarzyszonych spółdzielni i rozdziela między niemi wykonywanie robót, roztaczając nad spółdzielniami kierownictwo techniczne, udzielając im stałej pomocy instrukcyjnej i administracyjnej i ciągle czuwając nad ich działalnością.

Często konsorcjum podejmuje olbrzymie roboty budowlane, drogowe, regulacyjno-meljoracyjne, kosztorysy których wynoszą, jak na nasze pieniądze, grube miljony złotych. I świetnie się z tych robót wywiązuje, zatrudniając przy nich dziesiątki spółdzielni, tysiące robotników, setki techników i licznych inżynierów o najwyższych kwalifikacjach. Za wspólne oszczędności zrzeszonych spółdzielni konsorcjum dochodzi do własnych zakładów przemysłowych i urządzeń technicznych, nieraz bardzo kosztownych. Oczywiście dochodzi do tego stopniowo w drodze ewolucji.

Spółdzielczość pracy nie jest ruchem młodym. Ma ona poza sobą bogate doświadczenie i we Włoszech naprzykład, półwiekową, bardzo chlubną historję. Spółdzielczość pracy zdała egzamin życiowy, a wielkie korzyści, jakie daje ona nietylko stowarzyszonym, ale też i instytucjom, z któremi współpracuje, nie ulegają dziś najmniejszej wątpliwości.

Szczególnie szerokie zastosowanie znajduje spółdzielczość pracy przy robotach publicznych ziemnych i budowlanych, zwłaszcza prowadzonych, celem łagodzenia bezrobocia. Poza tem szerokie i wdzięczne pole ma spółdzielczość pracy przy masowej produkcji rzemieślniczej, a więc przy robotach szewskich, krawieckich, bieliźniarskich, stolarskich i t. d., wykonywanych dla armji, kolejnictwa, samorządów i t. p. Organizując na odcinku tym chałupników, spółdzielczość pracy występuje, jako czynnik, likwidujący chałupnictwo, ten wrzód na organizmie społeczno-gospodarczym naszych czasów.

W Polsce spółdzielczość pracy prawie, że nie istnieje. Z niewielkiej ilości spółdzielni tego typu tylko bardzo nieliczne są jako — tako zorganizowane i prowadzone. Olbrzymia ich większość jest natomiast zorganizowana i prowadzona fatalnie. Nie trzeba się więc dziwić, że praca ich nie daje dobrych i zachęcających wyników.

Nie wypływa z tego bynajmniej, że spółdzielni pracy nie należy w Polsce zakładać i że wogóle nie warto zajmować się tą sprawą. Przeciwnie, znając błędy dotychczasowe, trzeba błędów tych unikać . Poza tem, trzeba się dobrze zaznajomić z pozytywnem i negatywnem doświadczeniem innych krajów, aby, naśladując najlepsze i najbardziej dla nas odpowiednie wzory, tworzyć i rozwijać w Polsce mocną sieć zdrowych spółdzielni pracy.

Ze wszystkich rodzajów kooperacji spółdzielczość pracy jest rodzajem najtrudniejszym. Wymaga bowiem bardzo umiejętnego i bardzo ostrożnego doboru ludzi, oraz takiej organizacji, którąby zabezpieczała stowarzyszenia przed wykolejeniem na niewłaściwe tory, co bardzo łatwo następuje, gdy organizacja nie posiada własnych mocnych otamowań.

W Polsce dzisiejszej spółdzielczość pracy może mieć szerokie i bardzo wdzięczne pole dla swego zastosowania. Wielka ilość pracowników, zwłaszcza pracowników młodych, nie mających jeszcze nałogów, które utrudniają ludziom starszym dostosowanie się do nowych zasad i nowych warunków pracy, — wielka ilość tych młodych pracowników mogłaby znaleźć na drodze spółdzielczości pracy najwłaściwsze dla siebie wyjście w życiu zawodowo-zarobkowem.*)

Jan Wolski

---

*) W Warszawie istnieje specjalne Towarzystwo Popierania Kooperacji Pracy przy ul. Marszałkowskiej 123, m. 26, tel. 212-87, które udziela wszelkich porad i wskazówek instrukcyjnych w zakresie spółdzielczości pracy. Tymczasem biuro T-wa bywa czynne tylko w poniedziałki i piątki od godz. 7-ej do 9-ej.

Mamy dotychczas w Polsce kilkanaście broszur z dziedziny spółdzielczości pracy. Wymienię z nich dwie. Jedna, napisana przeze mnie, nosi tytuł: „Spółdzielnie Pracy" i zaznajamia czytelnika z podstawowemi założeniami organizacyjnemi spółdzielni pracy. Druga broszura, napisana przez Juljusza Bobrownickiego, nosi tytuł: „U progu twego życia" i jest przeznaczona dla młodzieży. Ta ostatnia broszura, napisana z prawdziwym talentem literackim, treściwie i bardzo zajmująco, zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie. Broszury te można nabyć w Związku Spółdzielni Spożywców, Warszawa — Mokotów, ul. Grażyny 13, tel. 8-22-26, oraz w większych księgarniach.

W PAŃSTWIE BEZPRAWIA

KORESPONDENCJA Z BERLINA

Przypatrzmy się bliżej życiu Berlina pod władzą Hitlera. Berlińczyk mówi teraz cicho, niemal szeptem. Czy w wielkiem mieszkaniu luksusowem, czy w kolei podziemnej, czy też w taniej kuchni lub w kawiarni — wszędzie panuje ton przyciszony. Już koło godziny 11-ej w nocy miasto jest puste. Piętno swoje wyciskają na fizjonomji ulicy oddziały szturmowe, które wracają do koszar. Publiczność przygnębiają ciągłe defilady szturmowców, którzy co chwila pobrzękują gościom kawiarnianym puszkami, domagając się ofiary. Publiczność żydowska, która dawniej stanowiła gros gości kawiarnianych, trzyma się zdala, unikając lokali, gdzie wszędzie, na każdym kroku, nawet w klapie kelnera, widnieje swastyka.

Ponurość cechuje zewnętrzny obraz życia ulicy berlińskiej. Oddziały szturmowe, a zwłaszcza ich kierownicy, czują się klasą wyższą, a raczej wywyższoną. Niechętnie słuchają o projekcie pracy przymusowej, albowiem oznaczałoby to koniec pięknych dni swawoli i samowoli. Masy nadal czekają na zbawczą myśl i wielkie czyny „wodza". Znudziły się już pochody, okrzyki. Już nawet nie robią wrażenia takie popisy, jak publiczne znieważenie b. socjalistycznego prezesa rządu Badenji, posła Remmele. Organ urzędowy Hitlera, „Voelkischer Beobachter" zachłystywał się, opisując tę hańbę. Cytuję dosłownie:

„We wtorek sprowadzeni byli w otwartem aucie przez ulice Karlsruhe: były prezydent Badenji, minister dr. Remmele, były urzędnik badeńskiego ministerstwa spraw wewnętrznych radca Stenz, były członek rządu i poseł do parlamentu adwokat Warum, redaktor socjalistycznego dziennika „Volksfreund" w Karlsruhe, Gruenbaum, były komisarz policji Furrer, jakoteż byli przywódcy organizacji republikańskich. Wóz wyruszył z więzienia w dzielnice zachodnie miasta przez szereg ulic do gmachu prezydjum policji. Wszyscy byli sprowadzeni z obozu koncentracyjnego w Kieflau. Przed więzieniem zebrał się olbrzymi tłum, który powitał aresztowanych gwizdaniem i wrogiemi okrzykami. Przed pierwszym wozem policyjnym, w którym aresztowani musieli odkryć głowy, kroczyła dwurzędowa kolumna oddziału szturmowego. Za wozem policyjnym z aresztowanymi jechał wóz oddziału szturmowego. Otwarty wóz policyjny posuwał się powoli, krok za krokiem, pośród gęstej masy tłumu, który był ustawiony w 8 szeregach. Przed gmachem sejmu krajowego, siedziby centrali związków zawodowych i rządu krajowego, pochód zatrzymał się. Grały kapele. Natłok tłumu był tak wielki, że ruch tramwajów i samochodów został całkowicie zahamowany".

Tak postępuje rząd Hitlera z przeciwnikami, którzy lekkomyślnie pozwolili mu — w ramach ustroju demokratycznego — organizować kohorty nowoczesnych zbirów i oprawców.

We Wrocławiu, w którym panoszy się oprawca Heines w roli prezydenta policji, dokonano szeregu rewizji, podczas której rozbijano łóżka i naczynia oraz zabrano aparaty radjowe, o ile nadawały się do odbioru stacji zagranicznych. Do „Brunatnego domu" przy Neudorfstrasse sprowadza się dziennie około 60 aresztowanych robotników, którzy są maltretowani. W tej mordowni dopuszczono się bestjalstwa na osobie sekretarki „czerwonej pomocy" Selmy David, którą rozebrano do naga, oblano wodą i wybatożono. Ten sam los spotkał wielu innych robotników.

***

Lecz jak się przedstawia sprawa walki z bezrobociem? Przecież pod tym hasłem Hitler zgromadził pod swym sztandarem miljony łatwowiernych. Owszem, plan opracowano, a jego przyszłość napewno przyczyni się do otrzeźwienia wśród najbardziej zagorzałych zwolenników hitleryzmu.

Zapowiedziano uroczyście, że rząd uruchomi miljard marek na walkę z bezrobociem. W rzeczywistości jest to nic innego, jak rozszerzenie kredytów państwowych, praktykowane już na mniejszą skalę w okresie Brüninga. Hitler, wbrew swym uroczystym zapowiedziom, wkracza na drogę inflacji, aby sfinansować roboty budowlane. Przedsiębiorca, korzystający z kredytów w postaci bonów skarbowych, musi zatrudnić bezrobotnych. Nowozatrudniony bezrobotny otrzyma conajwyżej 72 marki miesięcznie, podczas gdy przeciętny zarobek taryfowy wynosi jeszcze dziś 132 marki miesięcznie. Robotnik płaci koszt „nakręcenia" konjunktury znacznem zmniejszeniem zarobku.

Hitleryzm jest wrogiem pracy zarobkowej kobiet. Przez częściowe zwolnienie pracownic domowych od obowiązku przynależności do ubezpieczenia społecznego, chce rząd spowodować zatrudnienie większej liczby tych pracownic w domach prywatnych, co jest oczywiście nonsensem w obecnych warunkach w Niemczech.

Głośna była w swoim czasie obietnica, którą Hitler w czasie agitacji wyborczej złożył kobietom niezamężnym, oświadczając, że każda kobieta niemiecka otrzyma za jego rządów męża. Teraz pomyślano właśnie o tej obietnicy. Obywatelki niemieckie mogą, zawierając związek małżeński, otrzymać pożyczkę w wysokości 1.000 marek. Za jaką cenę? Pożyczka jest bezprocentowa i zwrotna w ratach. Za tę pożyczkę można nabyć wyłącznie meble i urządzenie domowe an podstawie odnośnych bonów. Pożyczka jest tylko wtedy przyznana, kiedy przyszła małżonka jest zatrudniona i zobowiązuje się, że nie obejmie żadnej płatnej pracy, aż do spłacenia pożyczki, czyli w ciągu 8 lat. Pracująca kobieta, zaciągając tę pożyczkę szczęśliwości, traci więc zarobek na okres 8 lat, a dług musi spłacić. Oto sprawiedliwość społeczna partji, która mieni się być także „socjalistyczną", a która pozbawia kobietę wolności i prawa do pracy, robotnika zaś — części skromnego zarobku.

***

W Niemczech istniała zawsze pewna kategorja profesorów, którzy potrafili na każde zawołanie umotywować wszelką niesprawiedliwość, każdy gwałt, jeśli taka pomoc „naukowa" potrzebna była władzy. Teraz, gdy morze głupoty zalało całe Niemcy, również znalazło się wielu profesorów, którzy pchają się na czoło rządzącej barbarji, aprobując w imię nauki każde bezprawie.

Należy do nich, między innymi, radca służby zdrowia w Berlinie, dr. Velgutt, który w organie oficjalnym lekarzy niemieckich wyraża gotowość dokonywania sterylizacji „idjotów, chorych umysłowo, ludzi niespołecznych, upośledzonych fizycznie i obcych pod względem rasy". Do kategorji niespołecznych zalicza ów zadziwiający lekarz tych, którzy domagają się zbyt wiele pieniędzy ze środków publicznych na swoje utrzymanie. Do „obcych pod względem rasy zalicza dr. Velgutt „Żydów, Murzynów, Mongołów i tym podobne narody".

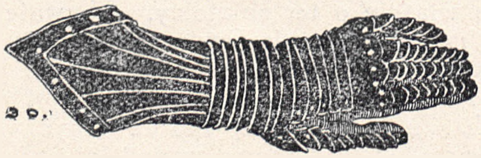
* * *

Wobec tak humanitarnych projektów nie zdziwi już nikogo żądanie, umotywowane publicznie przez niejakiego Gerhara Rudolpha, aby ustanowiono w Niemczech specjalny „urząd do spraw żydowskich", który zaprowadziłby „żółtą księgę", rejestrującą wszystkich Żydów. Podlegają oni prawu o obcych. Rejestrowane mają być również rodziny niemieckie, które przez małżeństwa mieszane z Żydami stały się żydowskiemi. Z ksiąg parafjalnych kościołów chrześcijańskich należy wynotować nazwiska tych rodzin żydowskich, które przyjęły chrzest. Rodziny te mają być przymusowo wpisane na listy „Żółtej księgi". Niemiec powinien przed ożenkiem podać urzędowi do spraw rasy oraz urzędowi do spraw żydowskich szczegółowe dane o swem pochodzeniu, aby oba te urzędy wyjaśniły kwestję rasy i zewoliły na małżeństwo. Małżeństwo mieszane może być dozwolone pod warunkiem, że małżonek obcej rasą kobiety, t. j. żydówki, będzie należał do wspólnoty żydowskiej wraz z potomstwem. Zrodzeni z małżeństw mieszanych niemiecko-żydowskich uważani są za Żydów, bez względu na wyznanie i muszą być zarejestrowane w „Żółtej księdze".

* * *

Oto kilka z obrazków z terenu szalejącego barbarzyństwa i nieprzytomnej demagogji.

X. Y. Z.



ODGŁOSY

NAJDAWNIEJSZY PRECEDENS

Stosy spalonych w Niemczech książek i klątwy, rzucone na ich autorów, przypominają różne w dziejach precedensy. Najmniej znanym jest precedens najdawniejszy.

Od roku 221 do 207 przed Chr. panowała w Chinach dynastja Tshin. Sława założyciela tej dynastji była tak wielka, że doszła aż na Zachód, przynosząc ze sobą nazwę całego kraju od nazwy dynastji. Nazwa bowiem „Chiny", w upodobnieniu do nazw tego kraju w innych językach, pochodzi od „Tshin". Twórca tej sławnej, acz krótkotrwałej dynastji, król Czeng z Tshin, chwyciwszy w swoje ręce hegemonję nad feudalnymi książętami kraju, obalił system feudalny i stworzył jednolite cesarstwo. Czeng z Tshin przybrał tytuł cesarski, zawierający w sobie ideę boskości: imię cesarskie brzmiało — Szi Huang-ti, czyli Pierwszy Boski Cesarz.

Z imieniem Szi Huangti'ego łączy się słynny Mur Chiński, którego dzisiejsze ruiny ciągną się na przestrzeni 4.000 kilometrów.

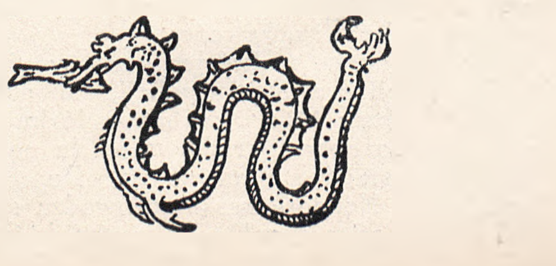
Obalenie systemu feudalnego i szereg wewnętrznych reform Szi Huangti'ego wywołały w zwolennikach dawnych rządów opozycję. Zewsząd podniosły się głosy surowej krytyki. Cesarz zasiągnął opinji swego premjera, Li Sse. Doradca cesarski rzekł:

„Wasza Cesarska Mość dokonał pierwszy wielkiego dzieła i zyskał chwałę, która przetrwa 10.000 generacyj. Głupi uczeni nie mogą tego pojąć. W starożytności Chiny były rozczłonkowane i pogrążone w chaosie, i nie było nikogo, ktoby je zdołał zjednoczyć. Dlatego książętom feudalnym wiodło się dobrze. W ich to sprawie uczeni przemawiają za starożytnością, potępiając teraźniejszość. Namawiają naród do rzucania oszczerstw. Gdy tak się rzeczy mają, jeżeli się nie sprzeciwimy temu, sytuacja władcy w górze zniży się, gdy w dole związki wzmocnią się. Proponuję, żeby kroniki oficjalne, z wyjątkiem kronik Tshin, zostały spalone, a tych, którzy ukrywają Sziking i Szuking, zmusić do przyniesienia ich władzom w celu spalenia".

Szi Huangti zaaprobował opinję swego głównego doradcy. Pod karą śmierci nakazał cesarz posiadaczom księgozbiorów spalenie wszystkich dzieł, z wyjątkiem tych, które traktowały o medycynie, rolnictwie i wróżbiarstwie. Ofiarą tego dekretu padły w największym stopniu dzieła konfucjanistyczne, głoszące nawrót do partjarchalnych stosunków i doskonalenie się przez naukę, jako drogę do naprawy. Opozycja zwolenników tradycji nie osłabła, mimo drakońskich środków absolutnego władcy. „Dla przykładu" cesarz kazał stracić 460 uczonych. Stało się to w r. 212 przed Chr. W roku potem umarł Szi Huangti, a w r. 217 upadła założona przez niego dynastja. Li Sse, projektodawca spalenia ksiąg, został stracony w r. 208.

Szi Huangti pozostał w pamięci narodu jako symbol tyranji i barbarzyństwa. Ten, który nawet po śmierci był postrachem dla wrogów Chin, zdobył sobie wzgardliwą ocenę potomności: „Tshin Szi Huangti, wywijając wielkim biczem, rządził światem... Władał batem i rózgami, żeby chłostać naród... Zabił wybitnych mężów. Żywił instynkty niskie i podłe. Z tyranji stworzył fundament pod cesarstwo".

„Człowiek o wydatnem nosie, o wielkich oczach, o piersi drapieżnego ptaka, o głosie szakala, bezlitosny, o sercu tygrysa lub wilka, skłonny do pożerania ludzi" — oto jego portret, jaki przekazali nam kronikarze chińscy.



SIGNUM TEMPORIS

Reportaż... fotomontaż... faktomontaż...

Słowa do niedawna jeszcze zgoła nieznane, a dziś już nietylko w słowniku naszym uobywatelnione, nietylko modne i cieszące się niesłychaną popularnością — ale jakgdyby sztandarowe, jakgdyby hasła przeżywanej obecnie doby.

Niema chyba dziennika, w którym nie możnaby było znaleźć drukowanego z dnia na dzień reportażu; niema ilustrowanego czasopisma, któreby nie sadziło się na efektowne i pomysłowe fotomontaże; niema chyba sceny, na której deskach nie znalazłyby gościny jakieś sensacyjne faktomontaże. Te nowotwory językowe, będące jednocześnie także nowotworami treściowemi, zdają się być naprawdę jakiemś znamieniem dnia dzisiejszego — stanowią swego rodzaju *signum temporis*.

Jakiegoż to rodzaju owo *signum?* I co w istocie rzeczy sygnalizuje?

Cechą najbardziej charakterystyczną wszystkich tych reportaży i wszelkiego typu montaży będzie przedewszystkiem to, że są one zlepkami rozmaitych „kawałków", z których — posługując się specjalnemi środkami technicznemi — robi się pewną całość. Każdy taki montaż — to nie marmurowy blok, nie bryła, w której wykuwa prawdziwy artysta swe dzieło, ale okruchy, drobiazgi, czy klocki odpowiednio poustawiane jeden obok drugiego, czasem podklejone jakimś nowomodnym syndetikonem sensacji, a czasem nawet zupełnie pozbawione tej kleistej więzi. By taką montażową pracę wykonać — na to nie trzeba być artystą, wystarczy być jedynie zdolnym fachowcem-monterem. (Sama nazwa „montaż" już zupełnie wyraźnie na taką technikę pracy wskazuje).

Wynikałoby stąd, że każdy taki montaż już w natury rzeczy wyrzeka się prawa do roszczenia sobie pretensyj, by być zaliczonym do dzieł prawdziwej sztuki, a już jeżeli nie sztuki — to wogóle do dzieł, zapewniających sobie dzięki swej własnej, ukrytej w nich samych twórczej mocy, trwałość, a więc i nieprzemijającą wartość. I żadnemu chyba z najznakomitszych nawet monterów nie przeszło przez myśl, że będzie on mógł kiedykolwiek powiedzieć o sobie: *non omnis moriar*, a o swym montażu, że jest to *monumentum aere peraennius.* Nie przeszło im to przez myśl, gdyż ich montażowa robota już w założeniu swem jest obliczona nie na przetrwanie wieków, ale na zaspokajanie chwilowych upodobań publiczności.

Mamy obawę. Mógłby nam kto zarzucić może zacofanie i nieuwzględnianie postępowego ruchu, który jest koniecznością w każdej dziedzinie życia i który — między innemi — wyrażać się może właśnie w omawianych tu montażach. Mógłby kto może powiedzieć, że świat dzisiejszy odbiegł od kanonów dawnej estetyki i od uznanych dawniej sposobów tworzenia.

Wiemy o tem i pamiętamy. Wiemy, że z prawdziwym entuzjazmem witać należy każdy nowy objaw nowego życia, o ile tylko posiada on w sobie cechy prawdziwie twórcze, o ile kryje on w sobie to, co nie przemija. Boć przecie właśnie na tych nieprzemijających wartościach gruntuje się trwałość i wieczna żywotność każdego prawdziwego dzieła. A cechą prawdziwie twórczego umysłu jest — między innemi — i to, że wybiega on poza dzień dzisiejszy, wyprzedza współczesność, wkraczając już dzisiaj w okręgi jutra.

„Syn minie pismo, lecz ty wspomnisz, wnuku" — mówił o sobie Norwid, rozumiejąc, że twórczość jego wybiegła bardzo znacznie naprzód i dlatego nie mogła cieszyć się zrozumieniem u współczesnych. Również nic innego nie oznaczało dumne nietzscheańskie zdanie: „Dopiero pojutrze jest moje". A cóż mogą powiedzieć o sobie popularni, poczytni, podziwiani monterzy dzisiejsi? Do nich należy tylko i jedynie *dziś*. Jutro i pojutrze, syn i wnuk przejdą obok nich i miną obojętnie, a może nawet wcale nie będą wiedzieli o ich istnieniu, o ich efemerycznych niby dziełach. Jutro, pojutrze... To przyszłość, może nawet bardzo daleka przyszłość. A tymczasem *dziś* tylko do nich należy.

W prawdziwej zawierusze, jaką robi dokoła siebie postęp we wszystkich dziedzinach życia i sztuki, zabrakło najwidoczniej pokoleniu współczesnemu czasu nietylko na przeżycie i przetrawienie dokonywujących się dokoła zdobyczy, ale nawet na proste zorjentowanie się w tym chaosie i uporządkowanie myśli. A obok braku czasu cechuje jeszcze dzień dzisiejszy inny brak — brak chęci (a może i umiejętności) do zagłębiania się w idee i piękno realizacji tych idei w sztuce. Stąd krok już tylko do popularności i rozpowszechnienia, znanej rosyjskiej beztroskiej dewizy: „Łowi moment" (chwytaj moment).

Chwila — to wszystko! Chwytamy chwile, żyjemy chwilą, łatwiej przemówić do nas zlepkiem (montażem) chwil, niż dziełem, „trwalszem, niźli spiże". A do takich sztuczek należy także umiejętność ślizgania się po powierzchni życia i unikania spojrzenia wgłąb. Dzisiaj odczuwa się poprostu jakiś lęk przed wszelkiem zagłębianiem się w istotę zjawisk życiowych. Bo tam, w tych głębinach, można poznać prawdy nieraz tragiczne, wówczas gdy na powierzchni życia nie widzi się ich i grozy ich się nie odczuwa. Zresztą ślizganie się po powierzchni nie spotka nigdy takiego oporu i nie będzie wymagało takiego wysiłku, co przedzieranie się poprzez głębiny.

I dlatego też prawdopodobnie tak chętnie i z takiem uczuciem ulgi i beztroski zwraca się uwaga dzisiejszych „zjadaczy chleba" ku wszelkim reportażom, foto i faktomontażom, a odwraca od tego, co wymaga skupienia, wysiłku myślowego.

Zygm. Michałowski

MIARA KULTURY

Niedawno przedefilował ulicami Warszawy dziwny pochód. Przy wtórze muzyki, w eskorcie hufców harcerskich, kroczyli zwartym szykiem niecodzienni bohaterowie dnia: rącze konie i poważne krowy, pokorne osiołki i egzotyczne zwierzęta z Zoo, całe roje psów — pieski, psiny i psiska; za nimi legjon kotów; niesiono w klatkach gołębie, króliki, koguty i kanarki.

Pochód ten odbył się z okazji dnia „Dobroci dla zwierząt", zorganizowanego przez Polskę Ligi Przyjaciół Zwierząt. Miał on nawołać serca ludzkie do miłosierdzia względem ich czworonożnych i skrzydlatych towarzyszów, przyjaciół, sług i żywicieli.

Dobrze jest od czasu do czasu te rzeczy przypominać i cokolwiek się w tym celu uczyni, nie będzie to zbyt wiele. Ale jeśli chodzi o istotne przypomnienie krzywdy zwierzęcia i nawołanie do litości wzglę-

dem niego, inaczejby powinien ten pochód wyglądać. Owe pulchne, czyściutkie, rozkoszne i wypielęgnowane pieski, czy kotki, mogły obudzić tylko przyjazne uśmiechy, ciepłą tkliwość i rozrzewnienie. Widzieliśmy bowiem roje pieszczochów, benjaminków i ulubieńców. Gdy spadł nagle deszcz, można było spostrzec sceny naprawdę wzruszające. Troskliwe panie pootulały swych pupilów własnemi płaszczami, narażając się same na zmoknięcie. Te stworzonka nie mogły i nie potrzebowały budzić litości.

Ale dla zrewidowania naszego istotnego stosunku do zwierząt powinny może raczej przeciągnąć ulicami miasta pokaleczone, znędzniałe, zmęczone do ostatniego tchu konie, z powybijanemi od razów bata oczami i żebrami połamanemi od kopnięć, krowy ze stemplami powypalanemi lub powykrawanemi na żywem ciele; cielęta z powyrzynanemi językami (aby nabywcy nie zachowali ich dla ulepszenia rasy), psy bezpańskie i ptaki z wydłubanemi oczami... Może gdybyśmy na własne oczy ujrzeli drgające z bólu stosy drobiu z połamanemi skrzydłami, ryby krajane żywcem na wagę i koty rozdzierane żywcem na połowy dla owijania niemi zreumatyzmowanych nóg, drżące ze śmiertelnej trwogi konie, które w haniebny sposób morduje się dotąd, zadając im straszliwe męczarnie dla zadośćuczynienia ceremonjałowi rytualnemu — może wówczas dopiero zadrgałoby nam serce zgrozą, współczuciem i oburzeniem.

W żadnym bowiem może wypadku nie jest tak dalece słusznem przysłowie „czego oczy nie widzą, o to serce nie boli", niż w sprawie straszliwych cierpień zwierzęcych i męki ich, która się dzieje tuż obok nas, na peryferjach miasta, w rzeźniach, stajniach, wagonach ładownych i na targowiskach, a o której nie wiemy, lub wiedzieć nie chcemy, — której często nie wierzymy, ponieważ jej sami nie oglądamy.

Inspektorzy Ligi przyjaciół zwierząt spotykają się podczas swych prac na każdym kroku z przykładami krew mrożącego w żyłach okrucieństwa, barbarzyństwa i zdziczenia. Ci, skoro raz się z temi sprawami zetknęli, nie rzucają już nigdy swej pracy, nie mogą jej rzucić, wkładają w nią całą dobrą wolę, czas i środki, któremi rozporządzają.

Katusze zadawane zwierzętom nie są koniecznością życiową. Płyną częściowo z okrucieństwa, jeszcze częściej z bezmyślności. Skądkolwiekby jednak płynęły, deprawują dusze ludzkie, przynoszą falę zdziczenia, akumulują pokłady zła, które wyzwolą się potem przy najbliższej okazji, a kierunek ich będzie wówczas tylko kwestją okoliczności, czy przypadku.

Miarą kultury narodu mógłby być z wielką słusznością jego stosunek do zwierząt. U nas niestety sprawa ta smutnie się jeszcze dotąd przedstawia, choć grupy ideowych jednostek w całym kraju, powiązane w liczne stowarzyszenia przyjaciół zwierząt pracują z niezwykłem poświęceniem nad ulżeniem niedoli zwierzęcia.

Cokolwiek zrobimy dla dręczonego zwierzęcia — zrobimy dla człowieka i jego kultury.

„Nie wybrałbym nigdy za przyjaciela człowieka choć bogatego w wiedzę i rozum, którył by bez potrzeby rozgniótł robaka" — powiedział Lamarinée. A stare przysłowie arabskie powiada: nie ma religji człowiek, który nie zna litości dla zwierząt.

Jadwiga Baranowska

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

DOKUMENTY O NARODOWEJ DEMOKRACJI

Operując bogatym, a częściowo rewelacyjnym, po raz pierwszy dobytym na światło z mroków archiwalnych, materjałem dokumentarnym, p. Pobóg-Malinowski *) kreśli ewolucję ideową Narodowej Demokracji — od haseł niepodległościowych i powstańczych do podporządkowania się państwowości rosyjskiej bez zastrzeżeń. Wymownem zestawieniem faktów i dokumentów ustala na przestrzeni trzydziestolecia 1887—1918 kolejne etapy organizacyjnego i ideowego rozwoju tego stronnictwa.

Już w niespełna rok po założeniu „Liga Polska', tajna do r. 1890 organizacja N. D. — zwija szumnie rozwinięty sztandar niepodległości. Już tedy, w tak krótkim czasie, zdążyła się ujawnić znamienna cecha oportunizmu N. D. P. Pobóg-Malinowski stwierdza, że w drugiej zkolei ustawie Ligi Polskiej, przyjętej w rok po powstaniu organizacji do życia, nie znajdujemy ani słowa o niepodległości Polski i o walce zbrojnej o nią. Historycy i publicyści odnosili moment rezygnacji Ligi z haseł wyzwoleńczych do lat 1901—1903, podczas gdy dokument, ujawniony przez p. Malinowskiego, cofa ten moment o 15 lat do r. 1888.

Nikłość akcji „narodowej" dobitnie podkreśla autor zestawieniem, że gdy Liga zdobywała się na policzkowanie prorosyjskich, ugodowych publicystów polskich — socjalizm polski organizował już wtedy zamachy terorystyczne i krwawy bunt łódzki w r. 1892, a w r. 1886 wstrząsnął opinją procesem proletarjatczyków i widokiem czterech szubienic na cytadeli.

W r. 1893 Roman Dmowski pisze, że tajemnicy polityki ugodowej z caratem szukać należy „w interesie klasowym wielkich kapitałów", tudzież „w sobkostwie i ograniczeniu umysłowem biernej części narodu".

Roman Dmowski, ten sam, który w r. 1893 rzucał zapowiedzi tępienia wszelkich form rusyfikacyjnych zapomocą manifestacyj, strajków i nieustającej, chronicznej rewolucji — w 13 lat później nazwie realizację tego postępowania przez P.P.S. „syfilisem politycznym" i wypowie temu „syfilisowi" krwawą „walkę na noże".

Programy N. D. były zawsze mgliste i chwiejne, niewyraźne, niezdecydowane. „Skarb Narodowy", z którego czerpano coroczne fundusze, informowano kłamliwie o akcji antyrosyjskiej, prowadząc w rzeczywistości politykę ugody w oczekiwaniu carskich koncesyj.

Odezwy i wydawnictwa Ligi zapewniały o nieprzejednanym i wrogim stosunku do Rosji. Roman Dmowski w książce „Polityka polska i odbudowanie państwa" dowodzi, że polityka N. D. stanowi od swych początków zwartą, logiczną i konsekwentną całość. Ciągłość tę i konsekwencję w dziwnem świetle wystawia szereg poczynań N. D., a przedewszystkiem wyjazd Dmowskiego w 1904 do Tokio w celu sparaliżowania antirosyjskiej akcji Piłsudskiego oraz „walka na noże" wypowiedziana akcji niepodległościowej socjalistów.

---

*) Władysław Pobóg-Malinowski. Narodowa Demokracja. 1887—1918. Fakty i Dokumenty. Warszawa 1933.

Idea niepodległości była w r. 1905 uznana przez Narodową Demokrację za nieziszczalną mrzonkę. Aspiracje polityczne zostają zwężone do postulatu autonomji w granicach Rosji. Nastąpiło wyraźne przejście do podporządkowania się państwowosci rosyjskiej. W miarę nasiąkania coraz rozleglejszym elementem społecznej reakcji „rewolucyjność" polityczna N. D. zwęża się do programu autonomji.

Niesławną też rolę odegrała Narodowa Demokracja przy wybuchu strajku szkolnego w Królestwie, a jeszcze niesławniej postąpiła przy jego likwidacji. Za orędzie, wzywające do przerwania bojkotu szkół rosyjskich, został Dmowski spoliczkowany przez młodzież uniwersytecką.

Czarną kartę powojennej historji zapisali też narodowcy swym udziałem w szeroko przez Stołypina zakrojonej polityce kazionnego panslawizmu, który miał odegrać rolę narzędzia imperjalizmu carskiego.

Treścią poczynań N. D. w latach bezpośrednio przed wielką wojną była neo-ugoda, wierząca w możność rozwiązania pomyślnego sprawy polskiej w granicach państwa rosyjskiego. Sprawą, która wyzyskana została przez N. D. dla ogólnego prądu ugodowego stała się także kwestja żydowska. Usiłowano nią przesłonić wszystkie inne kwestje krajowe w celu odwrócenia uwagi ogółu od zagadnień ważniejszych. Z całym cynizmem pisała „Gazeta Poranna 2 grosze" — i to w odpowiedzi rosyjskiemu pismu, że pięćdziesiątą rocznicę powstania 1863 r. uczczono w ten sposób, że wypowiedziano nową wojnę, ale tym razem — Żydom!

Ruch niepodległościowy oskarżano o uleganie wpływom masonerji oraz twierdzono, że wszystkie jego cechy umysłowo-polityczne zdradzają wpływy duchowe żydostwa.

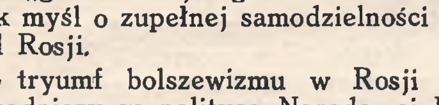
Wybuch wojny europejskiej wywołuje wśród N. D. najgorętsze sympatje prorosyjskie i uczucia wiernopoddańcze. Budowano przyszłą Polskę „ścieląc się u stóp Najjaśniejszego Pana". W r. 1915 N. D. uważa, że niema dla Polski nic straszniejszego i nic nie powoduje „gwałtowniejszego uderzenia krwi na mózg", jak myśl o zupełnej samodzielności i oderwaniu się od Rosji.

Dopiero tryumf bolszewizmu w Rosji powoduje zwrot zasadniczy w polityce Narodowej Demokracji. Przerzuca się nagle z gruntu autonomji pod hasło niepodległości. Ogień rewolucyjny, wyciągający niebezpieczne języki w stronę Zachodu — powie wówczas N. D. — przekona mocarstwa europejskie o konieczności stworzenia niepodległej „ostoi cywilizacji na Wschodzie".

Interesującą i opartą na źródłowym materjale archiwalnym pracę kończy p. Pobóg-Malinowski przytoczeniem rewelacyjnego pisma St. Grabskiego do Paryskiego Komitetu Narodowego w styczniu 1919, żądającego pomocy dla Lwowa. W liście wybitnego członka N. D. czytamy:

„Nic, literalnie nic dla przyspieszenia pomocy Polsce nie uczyniliście. Przeciwnie, tylko ciągle tę pomoc opóźnialiście".

M. Czarnowski



»POKÓJ« GLAESERA

W swym „Pokoju" *) usiłuje Glaeser przedstawić odcinek komunistycznych rozruchów w Niemczech zaraz po klęsce Wielkiej Wojny w 1918 roku. Historyczne wydarzenia dzieją się na uboczu — zaledwie wzmianka o zamordowaniu Róży Luxemburg i Karola Liebknechta, — natomiast gros uwagi poświęca autor bolszewizacji anonimowego miasta prowincjonalnego. Ujęcie rozgrywających się wydarzeń dowodzi, że Glaeser nie pochodzi sam z proletarjatu i ulicę zna tylko jako przechodzień. Zasadniczym motywem tej powieści jest mniemanie, że inteligent nie ma nic do powiedzenia w dziele walk proletarjackich, inteligent nie powinien stawać w rzędzie budowniczych proletarjackiej przyszłości świata.

Twierdzenia te, tak niewątpliwie gorzkie dla samego autora, są co najmniej ryzykowne z punktu widzenia dziejów proletarjackiej walki o władzę. Leaderzy najbardziej śmiałych i najbardziej skutecznych ruchów robotniczych — to po większej części zradykalizowana inteligencja. Zresztą naprzekór swym własnym twierdzeniom, stawia autor na czele robotniczo-żołnierskiej komuny miasta D. nie robotników i nie żołnierzy, lecz exstudenta i exoficera, — co więcej, stawia ich na piedestale bohaterstwa.

Sprawa uczestnictwa inteligencji w ruchach proletarjackich nie jest tak prosta, jakby mogło się wydawać. Glaeser powiada, iż niemożliwością jest, by inteligent wyzbył się uciążliwego ładunku złych cech kultury mieszczańskiej. Glaeser twierdzi, iż proletarjusz — to inny gatunek człowieka, zupełnie niedostępny do „przejęcia" dla ludzi z wyżyn, którzy skazani są razem ze swą kulturą mieszczańską na wymarcie, ponieważ nie mogą przestać być sobą. Co więcej, zdaniem Glaesera, inteligencja *nie powinna* mieszać się do spraw robotniczej walki, właśnie ze względu na dobro proletarjatu, gdyż może przenieść ze sobą w ten inny nowy świat stare choroby psychiczne, — może inteligenckością pozarażać tłumy robocze. Na dowód prawdziwości swych twierdzeń, ukazuje Glaeser smutne sylwetki socjal-demokratów, humanitarnych pacyfistów i t. d., którzy tak haniebnie, zdaniem autora, zdradzili proletarjat niemiecki w pamiętne dni rewolucji 1918 roku, by bronić kapitalizmu, patrjotyzmu, „porządku". Głęboki smutek przebija z kart tej książki. Autor nie ukrywa, że mówiąc do inteligencji, by szła na wymarcie, mówi to także do siebie, — on sam także jest inteligentem.

O jednej rzeczy zapomniał Glaeser. Jest w człowieku zdolność przejmowania się aż do śmierci nie swoją własną krzywdą. Historja walk proletarjackich uczy nas, że conajmniej równie szlachetnym jest człowiek walczący w imię krzywdy innego człowieka, innej klasy. Głęboka pociecha kryje się w niezbitym fakcie, że inteligencja *nie jest* skazana na wymarcie, bo posiada legjon swych przedstawicieli, którzy nie przestając być inteligentami, zbliżyli się do proletarjatu. To zbliżenie się leczy zupełnie skutecznie choroby mieszczańskiej kultury, a potęguje to, co w tej kulturze było dobre. Bo było i dobre. To jest także fakt.

Jerzy Kornacki

*) *Ernest Glaeser:* „Pokój". Przekład Melanji Wassermanówny. Tow. Wydaw. „Rój". Warszawa 1933.

POWIEŚĆ—DOKUMENT

W oczach naszych zamierał rodzaj prozy i poezji wieszczącej, a rodziła się literatura dokumentarna — dziś już podniesiona do godności kanonu. Takim dokumentem jest świeżo wydana przez M. Arcta powieść *Jana Reytana* „Kto winien?"

Chcąc zrozumieć, a zwłaszcza ocenić tę powieść, trzeba wprzód przeczytać krótką broszurę tegoż autora zatytułowaną „Z pałacu do przytułku". Okazuje się z niej, że przypadkowym zbiegiem okoliczności Reytan stał się posiadaczem notat i zapisek swego przyjaciela — wysoce nieszczęśliwego człowieka i alkoholika. Dostawszy je, poczuł się zobowiązany do napisania powieści, poświęconej zagadnieniu alkoholizmu.

Autor wyznaje otwarcie, że nie jest literatem i „nie rości sobie fałszywej pretensji, by trafić na Parnas literacki". Wobec tych zastrzeżeń przy ocenianiu dzieła J. Reytana należy stosować zupełnie inne kryterja, niż przy ocenie powieści w ścisłem tego słowa znaczeniu. Jako dziełu sztuki brak utworowi przedewszystkiem napięcia dramatycznego. Bohater — człowiek słaby i bezwolny — trzykrotnie popada w szpony alkoholizmu, lecz ani razu nie widać walki, przeciwstawiania się nałogowi, borykania się z nim. Nieszczęścia, jakie walą się na Trzosa, są właściwie zupełnie przypadkowe, co tembardziej pozbawia akcję powieści nuty dramatycznej. Żona bohatera — Teklunia — w swojej bierności kobiecej — tak idealizowanej przez autora — staje się aż irytująca, choć los jej niewątpliwie wzrusza. Osoby drugo-planowe rysują się dużo wyraziściej, a taki np. „byłyj czełowiek" Nosonow ze swą tragedją nieszczęśliwej miłości utrwala się w pamięci czytelnika dłużej, niż właściwy bohater.

Jeżeli spojrzeć na powieść jako na dokument życia, to niewątpliwie robi ona silne wrażenie. To, co szkodzi dziełu sztuki, dodaje wartości dokumentowi i jaskrawo podkreśla przewodnią myśl, jaka przyświecała autorowi podczas pisania powieści. Drażniący brak woli, nieopatrzność i bierność Trzosa może służyć dla wielu za odstraszający przykład. Wnioskując z broszury, o to właśnie chodziło autorowi, który książeczkę „Z pałacu do przytułku" zaopatrzył w takie motto z Wiktora Hugo: „Ludziom nie brak siły, im brak woli".

U POETÓW*)

W naszej przełomowej epoce ster rządów nad duszami dawno już wypadł z rąk poetów. Wicher zdarzeń rozkołysał spokojną przed laty toń życia i w ogólnym chaosie nawoływań, haseł, żądań i przemian głos poetów brzmi zaledwie dosłyszalnie.

Kto ponosi odpowiedzialność za taki stan rzeczy: czy poeci, którzy nie potrafią wznieść się do poziomu przeżywanej chwili, czy też czytający ogół, wyraźnie stroniący od poezji — próżnoby w tej chwili dochodzić. Pewnem jest, że wiele zbiorków wierszy, wyróżniających się nawet swą formą i treścią, ginie, nie budząc należytego echa.

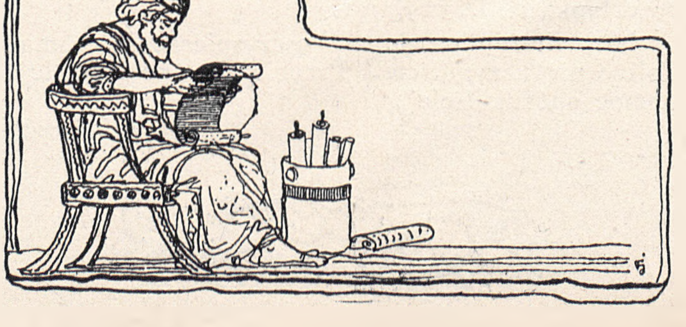
Tych kilka uwag nasunęło mi się w związku z lekturą dwóch zbiorków poezyj debiutujących autorów: Adama Galisa i Aleksandry Anieli Wolskiej.

Pierwszy zbiorek nosi tytuł „Bryły". Początkujący autor szuka jeszcze formy wypowiedzenia się, usiłując — nie bez rezultatów — zerwać z szablonem i dać rzeczy samodzielne. Spokojny, opanowany przypomina nieco klasyków z XVIII wieku już choćby tem, że połowa niemal wierszy pisanych jest w formie apostrofy lub ody, tak właściwych klasykom. Nie goniąc specjalnie za oryginalnością obrazowania, co w ostatnich czasach stało się już nużące, a nawet irytujące — bardzo często błyśnie obrazem wcale świeżym i ciekawym (wiersz „Dramat nocny"). Do najudatniejszych wierszy zaliczyłbym: „Hycla", wprost doskonałą „Balladę o strachu na wróble" i powściągliwą, ale jakże wymowną „Wizytę". Natomiast „Oda na cześć budowy pierwszego drapacza chmur w Warszawie" jest chyba jedynie spłatą długu na rzecz modnych tematów urbanistycznych, nie leży bowiem w charakterze talentu autora. Łamiąc się jeszcze z formą, Galis zapowiada zbiorkiem „Bryły", że zdobędzie oryginalną i własną pozycję wśród poetów współczesnych.

Bardzo miły jest tomik Aleksandry Anieli Wolskiej — „Pryzmat". Zaczynają go raczej igraszki poetyckie, jak np. „Bajka o duszach rzeźbiarzach", pół-żartobliwa opowieść o tem, jak mróz pęta szyby okien, kreśląc na nich swoje esy, floresy, lub „Wicher i chmura", wiersz o nucie i rytmice ludowej. Wkrótce jednak Wolska uderzy w inne tony: „Dziadówka", „Pan Wicher" przemówią silniej swem nastawieniem społecznem; w „Lecie" autorka zacznie snuć refleksje o cierpieniu, przenosząc w dalszych wierszach to zagadnienie raczej w regjony metafizyczne, a nie społeczne. Ostatnie wiersze zbiorku są czysto filozoficzne. Rezultatem zadumy i walki ze zwątpieniem jest zimne, nawskroś męskie skonstatowanie bezlitosności świata, oraz pojęcia Boga, jako odwiecznej bezsentymentalnej prawdy. W części zatytułowanej „Transpozycje" Wolska wysnuwa ze swojej postawy wobec świata nakaz etyczny, który brzmi: trzeba mieć odwagę być sobą i być człowiekiem.

Bogactwo nastrojów w zbiorku, który zaczyna się igraszkami poetyckiemi, a kończy zaatakowaniem najtrudniejszych zagadnień, wypływa stąd, że „Pryzmat" zawiera dorobek poetycki przynajmniej dwunastu lat, jak świadczą o tem daty, umieszczone przy niektórych utworach.

J. Waśniewski



*) *Adam Galis:* Bryły. F. Hoesick. Warszawa 1933. *Aleksandra Aniela Wolska:* Pryzmat. Warszawa 1933.

RELIGJA I SPOŁECZEŃSTWO

II.

Działalność techniczna ludzkości dąży do stworzenia środowiska materjalnego, w któremby istotnie myśl nasza mogła stanowić trwałą i wystarczającą podstawę dla naszego działania, w któremby wola nasza, kierując się tą myślą mogła wytwarzać w świecie zewnętrznym materjalne następstwa, stanowiące niezbędną podstawę dla życia, jakie dana jednostka pragnie sobie stworzyć. Taka władza ludzkości nad swem środowiskiem kosmicznem może być tylko wynikiem działalności zbiorowej i im bardziej zróżniczkowanem jest to stwarzane przez ludzkość, podległe jej myśli środowisko, tem bardziej też złożoną staje się ta zbiorowa działalność, w której każda jednostka bierze udział. Społeczeństwo winno odbijać wiernie pozycję jednostki wobec przyrody.

Często bardzo spotyka się dziś zawiłe rozprawy o stosunku moralności do prawa. Zdaje się, że tu jest właściwa granica. Prawo jest najściślej związane z panowaniem nad przyrodą, wytwórczością, moralność — to swobodny, wewnętrzny stosunek jednostki do samego życiowego procesu. Prawo — to mój udział w procesie wytwórczym; moralność najściślej jest związana z życiem płciowem. Erotyczność nie znosi przymusu: jakakolwiek zewnętrzna reglamentacja nie daje się tu pogodzić z godnością ludzką, sankcja musi tu być wewnętrzna, musi polegać na wytworzeniu w nas erotyzmu tak ukształtowanego, aby sprzyjał on jaknajbardziej zachowaniu i utrzymaniu wszystkich najrdzenniejszych zdobyczy biologicznych ludzkości.

Wydaje mi się, że tu należy szukać zadania, jakie spełnia i ma do spełnienia sztuka. „Ma do spełnienia" — jest wyrażeniem nieścisłem. Erotyzm nie jest obcym sztuce, jest jej istotą. Wydaje mi się, że twórczość artystyczna jest opanowana zawsze przez dwie siły: poczucie godności i poczucie erotyzmu. Nazwałbym te dwa czynniki osiami krystalizacji sztuki i sądzę, że posługując się niemi przy analizie różnych środowisk kulturalnych, wytwarzających sztukę, moglibyśmy stworzyć podstawę dla ścisłej teorji sztuki, klasyfikacji rodzajów i stylów.

Myślę, że związek naszkicowanych tu myśli jasnym jest przynajmniej w zarysie. Sztuka wytwarza w nas ten zespół wzruszeń, namiętności, które określać będą kierunek i charakter naszego erotyzmu. Zyskujemy więc przez nią pewną władzę nad samem życiem gatunku, wytwarza się tu wewnętrzne kryterjum, sumienie miłości, które wpływa na nasze życie rozrodcze. Sztuka wydaje mi się jedyną siłą psychiczną, posiadającą tak głębokie biologiczne znaczenie, a jednocześnie nie niweczącą naszego poczucia samodzielności, pozostającego w ścisłym związku z prawem i stanowiącego jego psychiczną rękojmię.

Dlatego też powstawanie nowoczesności, jej kształtowanie się i dojrzewanie ukazuje się nam zawsze w tych samych postaciach: nauka, prawo i sztuka. Trzy formy, w których psychika ludzka usiłuje wytworzyć rzeczywistą swą władzę nad życiem, usiłuje przeistoczyć siebie i życie, aby w ręku naszem był prawdziwy, a nie urojony ster losów.

Ja nasze jest wytworem życia, które nas poprzedziło i życia, które nas otacza. Religja, jak to formułuje James, przetwarza je w naszem odczuciu w jedność działającą, czyli w rezultacie prowadzi do przyjęcia za podstawę działania każdej przypadkowości historycznej i życiowej; służy działaniu. Przeciwnie: unicestwia je, a przynajmniej czyni wątpliwem, otacza nas mgłą, która nie pozwala nam odróżnić, czy wola nasza tworzy własną swoją odpowiadającą jej rzeczywistość, czy też służy tylko jakiemuś procesowi, zmierzającemu w nieznanym kierunku i przekształcającemu nas samych.

Gdy rozpatrujemy dzisiejsze życie kulturalne, spostrzegamy w nim dwa zasadniczo rozbieżne nurty psycho-społeczne: jeden z nich nazwałbym imperjalistycznym, drugi — świadomością klasową proletarjatu, światopoglądem swobody i pracy.

Pierwszy polega na takiem przystosowaniu własnej psychiki, że każde ukształtowanie życia uwarunkowane przez niezależny od naszej myśli i woli proces zbiorowy, zostaje przyjęte jako coś wytworzonego przez człowieka, zrodzonego z jego istoty, odpowiadającego jego woli i myśli. Człowiek wytwarza sobie taki stan myśli i wzruszeń, że wydaje się on sam sobie sprawcą własnego życia. Poczucie odpowiedzialności zostaje tak wypaczone, że człowiek przetwarza się w entuzjastycznie znoszące swą niewolę narzędzie żywiołów.

Działalność i psychika są nam dane przez układ społeczny i dokonywujące się w nim przeobrażenia: myśl przystosowuje się tylko. Społeczeństwo, bezosobowy splot warunków, kształtuje życie, życie urabia myśl, tak, że człowiek czuje się sprawcą swych wszystkich przeżyć, jakie wciska weń dany społeczny układ. Treść życia zostaje usunięta. Treścią staje się sam rozpęd w przystosowaniu się do danych form: entuzjastyczne *mimicry*. Poprzestawać na samem poczuciu czynnem, nie analizując form działania, jego wartości, znaczy to zdawać się na los przypadku.

Co znaczy działać? Znaczy to wytwarzać następstwa zgodne z naszą własną wolą. zanim więc mówić zaczniemy o działaniu, poznać musimy formy i drogi naszego panowania nad rzeczywistością.

Z tego punktu widzenia zgoła inaczej przedstawia się nam zagadnienie religji.

Nie może być mowy o żadnym indyferentyzmie.

Praca nowoczesnej świadomości posiada całkiem określony kierunek. Idzie w niej o wytworzenie rzeczywistej władzy człowieka nad życiem, o urzeczywistnienie samego człowieka, o realizację tej treści, której formą jest samo pojęcie „ja". Świadomość nowoczesna, oparta na nauce, rozszerza podstawy technicznego panowania człowieka nad przyrodą, burzy wszelkie skamieniałe, martwe fikcje, które nie pozwalają ludziom dojść do zrozumienia i ujęcia myślowego rzeczywistego swego istnienia. Dopóki tragarz nasz czyni madonnę odpowiedzialną za swój los, ciężko mu będzie zrozumieć, że sam on musi szukać realnych środków opanowania losu, który go dławi. I odwrotnie, w miarę jak życie w organizacji robotniczej przekona go o istnieniu form skutecznego i rzeczywistego działania celowego, mgła myśli będzie się coraz bardziej rozwiewać.

Religja jest z konieczności zrzeczeniem się odpowiedzialności. Przyjmuje ona psychikę ukształtowaną przez życie i usiłuje wytworzyć z niej wystarcza-

jącą samej sobie jedność. Działa ona w obrębie psychiki stworzonej przez historję, służy więc zawsze historji, która psychikę tę wytworzyła. Czyni nas narzędziem. Stwarza irracjonalne i niezbadane przez nas podstawy dla naszego działania.

Historja dotychczasowa wytworzyła całą psychikę obecnej ludzkości. Dzisiaj człowiek — wytwór historji — usiłuje ją opanować, usiłuje z dorobku jej wytworzyć narzędzie zdolne mu zapewnić panowanie nad światem i swobodę. Prawo, nauka i sztuka są temi siłami, temi drogami, poprzez które dążymy do wytworzenia swobodnego, rządzącego sobą człowieka. Religja będzie trwała, dopóki samo życie nie wytworzy form, w których odpowiedzialność i swoboda ludzka przestaną być straszliwem szyderstwem, póki życie choć w pewnej mierze nie stanie się kruszcem, posłusznym woli i myśli człowieka, ale wiemy także, że religja to symptomat przewagi żywiołu nad myślą, to symptomat, że ludzie nie rozumieją życia, które tworzą i znoszą. Tajemnica religijnej filozofji à la James ma na imię „Morgan, Wanderbildt et C-ie": Trust i Lock-out. Niemieccy profesorowie filozofji zasługują na to, aby władał nimi Kaligula. Pomiędzy sprawą swobody, a przyjmowaniem nie przez nas wytworzonych losów niema kompromisów. Bardziej, niż kiedykolwiek, pamiętać należy słowa Fichtego: w podstawie wszelkiej filozofji leży zawsze myśl, akt woli, wybór.

I jakiś nowy Michelet, gdy będzie mówił o filozofji naszych czasów, czasów upadłego mieszczaństwa, znieprawionej inteligencji i imperjalistycznego obłędu, będzie mógł użyć tego samego wyrazu: *Création du peuple des sots*. O to idzie. Automatycznie wytwarza się tłum istot nieodpowiedzialnych, a zdolnych do pełnienia funkcyj wymagających pewnej umysłowej tresury.

Człowiek dźwiga dziś niesłychane brzemię historji stwarzanej żywiołowo: przekuwa duszę własną i środowisko, w którem żyje. Wszystko, co przyjmuje życie w jego formach nie wytworzonych przez celową działalność człowieka, kryje narzędzia przeciw człowiekowi: przygotowuje też zasób żywiołów nieodpowiedzialnych, które są zawsze wrogiem zagrażającym kulturze.

Stanisław Brzozowski



P R O W O K A T O R Z Y

ZE WSPOMNIEŃ WIĘZIENNYCH I REWOLUCYJNYCH

Zjawisko prowokacji tak głęboko zakorzenione jest w ruchu rewolucyjnym, szczególnie podziemnym, że prawie wszyscy, którzy odbyli więzienie i brali czynny udział w rewolucji, zachowali w swych wspomnieniach sylwety prowokatorów, napotkanych i ujawnionych w tym okresie. Wstrętne to są, jakkolwiek bardzo różne, sylwety. Wspomnienia, z niemi związane, należą zawsze do najciekawszych i bolesnych. Temniemniej trzeba sięgać do tych wspomnień: wgląd w psychikę i dzieje tych potępionych ludzi, historja ich demaskowań, imiona ich wreszcie— wszystko to musi zająć swe miejsce w dziejach walk rewolucyjnych.

Osobiście zetknęłam się w okresie swej pracy rewolucyjnej z kilkoma prowokatorami. Psychika tych ludzi bywała również bardzo rozmaita...

Śród nich znałam jedną kobietę. Nazwisko jej zatarło mi się całkiem w pamięci i tylko przypadek jakiś — ktoś, ktoby się odezwał na te wspomnienia— mógłby to nazwisko wskrzesić. Była to Rosjanka, zesłana na Syberję za udział w partji socjal-rewolucjonistów. Zetknęłam się z nią już po rewolucji rosyjskiej, w końcu marca 1917 roku, wchodziłam wówczas w skład prezydjum Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w powiatowem mieście Jenisiejskiej guberji, które się nazywało Kansk, z mandatu tej samej partji S. R., za udział w której zostałam również zesłana uprzednio na Syberję. Prezydjum Rady dostało meldunek z Irkucka od partji S. R., że wraca do Rosji ta osoba, co do służby której w ochranie Irkuck w międzyczasie zdobył dane z archiwum żandarmerji. Aresztowaliśmy ją na dworcu, wracała z mężem i dwojgiem dzieci w wieku szkolnym, z którymi razem mieszkała na zesłaniu. Osadziliśmy ją w więzieniu. Był to sam początek rewolucji, trzeba było zachować największą ostrożność; prowokatorzy musieli być izolowani, potem zaś — i na zawsze — odgrodzeni od możności przenikania do mas dla pracy społecznej.

Sprawa z tą kobietą była trudna. Nie wiem, czy mąż jej był wtajemniczony w jej stosunki z ochraną, w każdym razie dzieci nic nie wiedziały o tem. Była to rodzina par excellence mieszczańska, zupełnie daleka od kontaktu z ruchem wolnościowym; pani ta była inteligentką, zdaje się była dawniej nauczycielką, mąż jej pracował gdzieś w biurze. Dzieci — pamiętam chłopczyka lat 15 — przychodziły i prosiły o uwolnienie matki, o widywanie się z nią i t. d. Bardzo trudno było rozmawiać z temi dziećmi. Osoba ta wystosowała do mnie, jako do kobiety, list z więzienia, list bardzo oryginalny, w którym usiłowała nietylko usprawiedliwić swe postępowanie, ale — zaintrygować, zająć sobą, pobudzić do traktowania jej wypadku, jako odrębnego. List był w najwyższym stopniu wstrętny. Pisała, że stosunki swe z ochraną, rozpoczęte jakoś przypadkowo, utrzymywała dla sportu, jako formę bardzo ekscytującego flirtu: umiała dawać bardzo mało wartościowy materjał, a „bujać" tak, że płacono jej akuratnie — to jej dawało środki utrzymania rodziny, póki mąż nie znalazł posady; potem mogłaby wprawdzie się wycofać, ale „umysłowo", jak twierdziła, była tak zaangażowana i zainteresowana w tej grze, uważała to za tak niepospolitą okazję ćwiczenia swego sprytu, przebiegłości, pamięci, przytomności umysłu i t. p., że nie chciała z tego rezygnować. Sądziła, że powinniśmy ją zwolnić i że osobiście muszę z tem współdziałać, jako kobieta. Podnosiła, że może się przydać rewolucji ze swemi wybitnymi umysłowemi kwalifikacjami. Na list ten nie dostała odemnie odpowiedzi: nie spotkałam się już potem nigdy, nawet u prowokatora, z tak daleko idącym cynizmem. Zo-

stała w więzieniu przez parę miesięcy, jakie spędziłam jeszcze na Syberji. Co się dalej z nią stało, nie wiem.

Drugi spotkany przezemnie prowokator był nie mniej ni więcej, tylko pierwszym prezesem owej Rady Delegatów. Był to żołnierz, po długiej służbie na froncie, żołnierz o wielkiej popularności śród żołnierzy. Nazywał się Paramonow, Iwan Andriejewicz. Pochodził z chłopów, ze środkowej Rosji. Niemal zaraz po rewolucji, po pierwszych zebraniach organizacyjnych, przed utworzeniem Rady, zgłosił się do socjal-demokratów z tem, że podziela ich poglądy i pragnie współpracować z nimi. Deklarował się jako mieńszewik. Był to człowiek niewielkiego wzrostu, blady, pochmurny, bardzo cicho mówiący, o twarzy bezbarwnej; zapalał się tylko, kiedy mówił do żołnierzy, ale linja postępowania, jaką propagował, zawsze była wybitnie umiarkowana. To nie była okoliczność, którąby mogła budzić czujność w stosunku do jego osoby. Wszyscyśmy mieli do niego zaufanie; zresztą — działalność stała się odrazu jawna, otwarta, legalna: ostrożności i obawy „podziemia" odstawiono na bok. W prezydjum Rady znajdował się stary konspirator, eserowiec — maksymalista, nazwiskiem Zwierin, człowiek o dużem doświadczeniu; ten miał do Paromonowa bardzo głębokie zaufanie.

„Odkryliśmy" go całkiem przypadkowo. Pewnego dnia siedzieliśmy w Radzie, w prezydjum, było nas tylko dwoje w pokoju, ja i młodziutki oficer — rewolucjonista, niejaki Dragunow. Nie było w tej chwili żadnej pilniejszej roboty i uradziliśmy wziąć się wreszcie do przejrzenia księgi „Żandarmskawo Uprawlenja", archiwum, oddawna odebranego u żandarmów, ale dokładnie jeszcze nie przejrzanego. Wprawdzie w pierwszych już dniach po rewolucji ogłoszono w Petersburgu listę prowokatorów, zdobytych po przejęciu centralnego archiwum żandarmerji, lecz była to lista niepełna. Trzeba było jeszcze zbadać całe archiwum. Wzięłam do ręki księgę, a Dragunow zajął się inną robotą. Obok w zamkniętym pokoju prezesa siedział Paramonow i — pamiętam dobrze — telefonował do kogoś, wymyślając mu za jakieś zaniedbanie.

Traf chciał, że niemal odrazu, po paru przewertowanych kartach, otworzyłam kartę, nad którą skamieniałam. Czytam: Paramonow, Iwan Andriejewicz, pseudonim — jedenaście, uposażenie — 30 rubli miesięcznie i t. d. Pamiętam jeszcze: „Kriestjanin Riazanskoj gubernji". Nic nie mówiąc, podsunęłam księgę do Dragunowa, pociągając go za rękaw. Pamiętam, że jęknął tylko po przeczytaniu: „Och"... Położenie było niełatwe. Paramonow mógł wejść i wchodził rzeczywiście co chwila do tego pokoju, polecając dyżurującym członkom prezydjum różne sprawy. Porozumieliśmy się tedy błyskawicznie. Ja z księgą idę do siebie, do domu, Dragunow natychmiast sprowadza do mnie dwóch członków prezydjum, Zwierina i anarchistę Fieofiłaktowa: tam poweźmiemy decyzję. Opuścimy prezydjum, nie meldując się prezesowi, gdyż nie mógł nam pozwolić odejść bez zastępstwa, a nie można było zwlekać ani chwili. Dragunow miał odsiedzieć po mnie tylko pięć minut, ażeby dać mi z księgą wyjść z gmachu i odejść kawałek.

W domu czekałam zaledwie kilkanaście minut. W owym czasie widzieliśmy zawsze, gdzie się szukać wzajem: organizacja Rady była bardzo sprężysta i sprawowała nienajgorzej na długo przed przewrotem bolszewickim — pełną i niepodzielną władzę w mieście. (Tak było w szeregu miast syberyjskich).

Zwierin nie chciał wierzyć, żeby to mogło być prawdą. Fieofiłaktow, Dragunow i ja nie mieliśmy najmniejszej wątpliwości. Zwierin wiedział wprawdzie od Paramonowa i to, że ten pochodzi z Riazańskiej gubernji, bronił go jednak powtarzaniem: „Ale przecież występuje zawsze tak umiarkowanie"... Tylko w ostatnich dniach zdziwiło go, jak w rozmowie z nim żądał, żeby usunąć z prezydjum mnie i socjal-demokratę mieńszewika Mołocznikowa, twierdząc, że za dużo w Radzie inteligentów: żołnierze sami znajdą właściwe drogi. To jedno tylko mogło nasunąć cień podejrzenia. Temniemniej trzeba było działać: stanęliśmy na stanowisku, że trzeba natychmiast rzecz wyjaśnić i zakończyć, to znaczy — aresztować Paramonowa. Sytuacja była tem poważniejsza, że był to pierwszy prezes Rady, że miał za sobą żołnierzy, zachodziła obawa oporu żołnierzy, zaburzeń, tarć pomiędzy żołnierzami a Radą, tak strasznie wówczas niepożądanych i niebezpiecznych.

Ciężkiej misji podjął się dobrowolnie Aleksy Fieofiłaktow, inteligent, ex-eserowiec maksymalista, a wówczas anarchista — syndykalista; wysoki, przystojny, bardzo zdolny i mądry człowiek, o pewnem podobieństwie psychicznem do typu Borysa Sawinkowa. Wykonał rzecz doskonale, w dwadzieścia minut potem już mieliśmy jego meldunek. Czekaliśmy przez ten czas w mojem mieszkaniu, gdyż trzeba było odrazu ułożyć plan zebrań w Radzie, poinformowania pułku Paramonowa i t. p., — podzielić między sobą te czynności. Fieofiłaktow załatwił tak. Wszedł do Rady, Paramonow właśnie stał już w tym drugim, wspólnym pokoju i wkładał szynel do wyjścia. Fieofiłaktow podszedł do niego, z ręką w prawej kieszeni, na brauningu. Powiedział: „Wy — Paramonow, Iwan Andriejewicz, kriestjanin Riazanskoj gubiernji, kliczka II"... Dalej nie potrzebował mówić, Paramonow zbladł i poruszył rękami, Fieofiłaktow wyrwał rewolwer z kieszeni, w przypuszczeniu, że tamten to uczyni i krzyknął: „Poddajcie się!" Paramonow skurczył się: „Nie strzelajcie... ja się przecież poddaję"... Fieofiłaktow odwiózł go sam do więzienia i tam postawił przy nim straż.

Nie mieliśmy żadnych zaburzeń w wojsku, dzięki odrazu podjętej otwartej informacji. Nawet prasa mieszczańska nie mogła należycie wyzyskać tego faktu dla swoich przeciw-rewolucyjnych celów, gdyż szybkość działania i otwartość w ujawnieniu przez nas tego istotnego nieszczęścia — wyrywała żądło wszelkiej intrydze. Oczywiście, wszelkie sprawdzenia tożsamości prowokatora podjęliśmy odrazu. Po dwóch dniach mieliśmy już z Irkucka dane, że działał on śród eserowców i zamieszany był w sprawie jednego z więźniów Szlissenburga, Szyszko. Na miejscu, w Kansku, od organizacji s. r. dostaliśmy informację, że się do niej zgłosił jeszcze przed wyborem go do Rady: szedł więc naprzód utartą drogą. Dlaczego potem chciał przerzucić się do s. d.-ków? Może przez ostrożność. Pewno też przez ostrożność wolał prowadzić linję umiarkowaną. Mieliśmy potem wkrótce ciężkie dla nas przejście: zebranie Rady, na które kazaliśmy przyprowadzić Paramonowa. Mogliśmy to zrobić, bo mieliśmy już wtedy wszystkie dowody w ręku. Przybyli ludzie, którzy go znali osobiście

z tej podwójnej roli. On zaś groził, że się zabije, przyrzekał, że całą prawdę opowie żołnierzom na Radzie. Możliwe, że liczył na swój dawny autorytet. Przyszedł pod eskortą, obrośnięty, zmieniony, okropny. Zaczął rzeczywiście bardzo patetycznie: „Ja, wasz prezes, wasz człowiek, żołnierz, — tylko wy możecie mnie sądzić, nie oni"... Występ jednakże wcale się nie udał. Prowadziliśmy tak otwarcie sprawę, że wszyscy członkowie Rady wiedzieli już do tego dnia prawie tyle, co my o zdradzieckiej działalności Paramonowa. Większość członków naszej Rady byli to żołnierze, chłopi, w małej części fabryczni robotnicy. Wielu prawie nie umiało czytać i pisać. Wszyscy odseparowali się od prowokatora; rozległy się głosy: „Jakie tam rozmowy, kiedy tak było... Przyznałeś się przecie... Jaki tam prezes, kiedy zdrajca... Nie chcemy... Wdzięczność towarzyszom, że cię wykryli... Nic nie masz do gadania... shańbiłeś honor Rady"... Paramonow próbował tłomaczyć swe motywy postępowania, ale skończyło się to bardzo prędko: nie chciano słuchać. Był to zdrowy instynkt mas: nie babrać się w paskudztwie. Paramonow wrócił do więzienia.

Niedługo potem wyjechałam już z Syberji, nie wiem co się z nim stało. Możliwe, że się gdzieś zamaskował i wcisnął do działalności społecznej w Rosji.

W prezydjum ówczesnej Rady był jeszcze i zna tę całą sprawę oficer-łotysz — poeta, eserowiec, nazwiskiem Ejdeman, dziś, jak czytałam w pismach, „komandarm".

(dok. nast.) *Halina Krahelska*

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W ubiegłym tygodniu znalazła się Europa pomiędzy paktem 4-ch, a wielką konferencją gospodarczą 67 państw. Te dwa fakty z życia międzynarodowego mają jeden rys wspólny: przesadność pozorów i form przy nikłości treści i wyników.

Nie trzeba specjalnego nastawienia negatywnego, aby wyrobić sobie takie zdanie o niewspółmierności paktu 4-ch ze skutkami, które mu się przypisuje. Wystarczy przejrzeć prasę tych czterech państw, których ambasadorowie pakt parafowali, a uderzy nas poprostu z jednej strony pompa tryumfu, jakby sprowadzono na świat szczęśliwość wieczną, a z drugiej — chłód, aż do brutalnej krytyki.

W prasie Italji niema oczywiście żadnej różnicy zdań. Wszędzie panuje „jubel", aż do ogłoszenia festynów ludowych, uznania posiedzenia Senatu, na którem Mussolini mówił o pakcie, za historyczne i rozplakatowania jego mowy.

Popolo d'Italia pisze: „Teraz zaczyna się prawdziwy nienarzucony pokój, który stanie się pokojem rozsądku, po pokoju gwałtu. Nareszcie po 15 latach prawdziwy pokój".

Inne pisma włoskie mówią o cudownem wprost działaniu paktu, który poprostu odwrócił wojnę, mającą lada dzień wybuchnąć.

Entuzjazmowi włoskiemu, o ile się z łupiny przesady wyłuska ziarno, można nie dziwić się: Il Duce osiągnął sukces, dopiął podpisania paktu, skłonił Francję do tego, że dla odprężenia w stosunkach z Włochami gotowa była podpisać niejedno.

Prasa francuska trzeźwo oceniająca dokument parafowany w Rzymie 7-go czerwca, tę właśnie jedyną widzi w nim korzyść. Pisma francuskie oddane rządowi deklamują systemem włoskim o niesłychanym sukcesie, o nowych gwarancjach pokoju, o wielkiem odprężeniu i t. p. Tuż obok tego padają z łamów prasy paryskiej uwagi bardzo krytyczne i kwaśne i gorzkie. Mówi się o konieczności odrzucenia ratyfikacji tego paktu w Izbie. *Le Journal* podkreśla, że wprawdzie wyraźny rewizjonizm znikł z paktu, ale jednak sprawa rewizji granic została podkreślona.

Prasa socjalistyczna francuska, którą na naszem podwórku zawsze traktuje się z jakimś dziwnym przekąsem, jako cytadelę progermanizmu, bardzo spokojnie. *(Le Populaire)* oświadczyła, że pakt nic nie zawiera i że nie warto było go podpisywać, w dodatku z takim hałasem.

W części prasy angielskiej, pakt rzymski, to wspólne dziecko Mac Donalda i Mussolini'ego, potraktowano obojętnie, a gdzieniegdzie nazwano go aktem obłudy... Potwierdzenie tej opinji znajduje się w głosach prasy niemieckiej, która na komendę robi niezadowolenie, ubolewa, że Niemcy poczyniły tyle ustępstw dla pokoju. A jednocześnie w tejże prasie idą rozważania na temat, jaki użytek z tego nowego niebezpiecznego cacka zrobić.

Te rozważania są najistotniejszą częścią paktu, bo... nie figurują w jego artykułach. Wszystko to, co tam „stoi napisane" nie ma żadnej wartości o ile brać słowo pisane à la lettre. Jeżeli zaś zestawiać je z tem, co być miało i o co chodziło i do tych celów naginać, słowa te nabierają treści wstrząsającej układem międzynarodowym, na pakcie Ligi Narodów wspartym. Wprowadzają one nierówności pomiędzy równymi w Genewie. Dlatego też płyną szeroko na wszystkie strony dawane przez Francję zapewnienia, że nic się nie zmieniło. Ale skoro nic się sie zmieniło, to poco był ten pakt? — pyta każdy śmiertelnik. — Żeby Włosi zrozumieli, że chcemy żyć z nimi w zgodzie, odpowiada Francuz.

— Trop de bruit pour une omelette — trzeba odpowiedzieć wówczas, bo przecież tendencję do zgodliwości dwu sióstr łacińskich „można" było zademonstrować w inny sposób, bez udziału ubijającego na tem swój interes Hitlera.

Taka była uwertura do wielkiej narady gospodarczej. Jeżeli do niej dodać chaos w zagadnieniu długów wojennych, które (nie mówiąc już o całej przeszłości) wlecze się jak kłujący oset za całym światem od 15.XII 32 do dni obecnych, to obraz nieudolności politycznych i rozkładu świata międzynarodowego stanie się kompletny. Cóż się dziwić, że w w inauguracyjnej przemowie p. Mac Donalda zadźwięczały nuty rozpaczy. Na język prosty przełożona mowa premjera W. Brytanji brzmiała tak: radźcie coś panowie bracia, bo zginiemy.

Dwa rządy na świecie grają w tem dziwowisku międzynarodowem rolę specjalną: rząd Sowietów, dla którego to, co dzieje się, jest tylko jak gdyby wymarzonem, wyreżyserowanem przez teatry rosyjskie potwierdzeniem powtarzanych co dzień teorji.

A drugi w takiej roli specjalnej — to rząd niemiecki: przy zupełnej nieudolności hitleryzmu wobec zagadnień wewnętrznych, ta „pieriedyszka", którą daje mu Europa zachodnia, zawierając z Berlinem pakt 4-ch i t. p., jest dla obecnej Rzeszy poprostu manną niebieską.

Ogłoszony nareszcie wielki plan zwalczenia bezrobocia w Niemczech, obliczony na emisję bonów skarbowych na 4 miljardy mk. raz jeszcze ilustruje bezradność rządu Niemiec „narodowych" wobec zagadnień palących dzisiejszej doby. Bo cóż w tym planie jest konkretne? Już znane zwolnienie od opłat ubezpieczeniowych za służbę domową i nowy pomysł— premja 1000-markowa (w meblach i gratach kuchennych) dla nowożeńców, o ile młoda mężatka zgodzi się nie pracować w żadnym zawodzie i zajmować się wyłącznie gospodarstwem domowem. Jedno

z tych zarządzeń ma stworzyć 300.000 posad służby domowej, drugie ma zwolnić dla 200.000 mężczyzn posady zajęte przez kobiety. Pozatem dekret mówi o robotach publicznych, które zainicjują samorządy, otrzymując na to bony. Roboty te mają zatrudnić 400.000 ludzi. Jeżeliby nawet te wszystkie cyfry, czerpane z najdziwniejszych źródeł (bo skąd np. masowy pobór do szeregów służby domowej, kiedy nowe formy życia ten gatunek pracy ludzkiej powoli znoszą) okazały się realne to i wówczas cyfra bezrobotnych w Niemczech wynosiłaby nadal parę miljonów. A cóż dopiero, gdy wie się zgóry, że cały plan i jego wyliczenia są jeszcze mniej warte, niż pakt 4-ch dla zagwarantowania pokoju!

Zarówno ten plan, jak cała ruchliwość na terenie międzynarodowym to parawany, za któremi ukrywa się dziki i nieokrzesany barbarzyńca hitlerowski. Ukrywa się, bo ma nieczyste sumienie, ukrywa się, bo władza w jego rękach nie czyni żadnych cudów. Tygodnie i miesiące mijają. Nic się w Niemczech nie zmienia. Nawet proces o podpalenie Reichstagu od 4 miesięcy nie może być „pokazany" ludowi. Uprząta się wciąż niewygodnych świadków, tropi się, gnębi, niszczy. Robi się co pewien czas chwila ciszy, Europa rozmawia z Niemcami, podpisuje z niemi umowy. Jak gdyby nigdy nic.

Nagle błyskawica oświetla szary horyzont: ze 160 posłów socjaldemokratycznych do Reichstagu, 90 znajduje się „im Schutzhaft" w t. zw. areszcie ochronnym, innemi słowami gnije po więzieniach i kazamatach. Nagle znowu ginie jakiś świadek, który za dużo wiedział o van der Lüblem: p. Oberfohren bierze morfinę, kto inny przecina sobie żyły.

Z organizmem w tak chorobliwym stanie, jak Niemcy, wewnątrz Europy trudno myśleć o uleczeniu całości.

„Zapobiegawcza wojna" („präventiwe Krieg") wydana przez hitlerowskie Niemcy wolności i demokracji prowadzi za sobą taką samą ruinę i wstrząśnienia, jak wielka „wojna prewencyjna", wydana przez Wilhelma II i jego generałów w 1914 r.

St. Gr.

GDZIE RACJA?

Jedni twierdzą, że papieros rozjaśnia umysł i działa uspakajająco, inni — że zabójczo działa na organizm ludzki. Proszę nie sądzić, że walczy tu nauka z ignorancją. Moglibyśmy wskazać szereg źródeł naukowych, przedewszystkiem „Encyklopedję farmaceutyczną", które nie widzą niebezpieczeństwa w używaniu w niewielkich dawkach nikotyny. W tych dniach wyszła nawet broszura p. t. „Jak działa tytoń na organizm ludzki", która powołuje się na 40 uczonych, znajdujących dodatnie strony działania nikotyny, rozumie się, pod warunkiem nie nadużywania jej.

Nie o to jednak idzie. Poszczególny nałogowy palacz, który nie może się zastosować do przepisu niepalenia, nie jest uczonym, by rozstrzygać ten zasadniczy spór. Musi jednak myśleć o zmniejszeniu dawki nikotyny. Ograniczanie ilości papierosów, zwłaszcza przy pracy, jest dość trudne. Co tedy począć? I tu właśnie przyszła nam z decydującą pomocą nauka. Jak wiadomo, wynaleziony został sposób chemicznego odciągania nikotyny z gotowych papierosów. Zastosował to Polski Monopol Tytoniowy w swoich fabrykach. W stałej sprzedaży są odnikotynowane „Ergo", „Egipskie" i „Egipskie Przednie". Inne gatunki można otrzymać na zamówienie. Po odnikotynowaniu ich pozostaje w tytoniu minimalna ilość nikotyny, która na organizm, przyzwyczajony do palenia, nie wywiera chyba najmniejszego wpływu, a z drugiej strony sprawia, że papieros nie zostaje pozbawiony właściwego aromatu i smaku.

A więc w sporze między uczonymi tu leży racja. Nie będziemy mieli potrzeby szukania specjalnych cygarniczek, napychania papierosa różnemi watkami i t. d. Papieros odnikotynowany rozwiązuje to zagadnienie.

Od administracji

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić prenumeratę na 3-ci kwartał 1933 r. Czytelnicy, którzy nadeślą przedpłatę, unikną przerwy w otrzymywaniu pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P.K.O. Nr. 26.630.)

TREŚĆ NUMERU

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.-405 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.